

Oddech księcia Drakuli: Precz ze stereotypami

„Ty Rumunie” – wołaliśmy na siebie z kuzynem Grześkiem w młodości na wakacjach. „Rumun=Cygan=Brudas=Złodziej”. „Rumunia=syf”. „Cyganić”³.

Coś mi nie gra. Od wielu lat mam taką oto zasadę: jeżeli wszyscy idą w lewo, ja biegnę w prawo. Jeżeli wszyscy mówią „tak”, ja przewencyjnie mówię „nie”. Lud się myli. Zawsze. Z wyjątkiem spraw bardzo zasadniczych.

Udałem się w 2005 r. w odwiedziny do księcia Drakuli w pewien wiosenny weekend przedłużony do dwóch tygodni, by zweryfikować, czy stereotypy są rzeczywistością.

Trafiłem do urokliwego kraju, gdzie na każdym kroku znajdowałem prześlicznie kolorowe drewniane monastiry. Wesoły kolorowy cmentarz wspomniałem kilka miesięcy później w Tana Toraja na Sulawesi, gdy po raz drugi widziałem ludzi radujących się na pogrzebie.

Oto co zapisałem w moim dzienniku w 2005 r.: „Największe wrażenia: Drewniane malowane prześlicznie monastiry, wesoły cmentarz.

Nocleg w domu polskim. - Mniejszość polska bazuje na informacjach o kraju pochodzących z telewizji Trwam docierającej w ramach abonamentu od proboszcza. Co niedziela indoktrynacja na mszy. Dom kultury prowadzi polska rodzina pod kierunkiem księdza. Gdybym miał jeszcze raz wybierać zawód, zostałbym chyba księdzem. Indoktrynowałbym dewotki, wpływał na każdą decyzję mieszkańca małej wsi w Polsce, stworzyłbym radio i telewizję. Rydzyk jest mistrzem świata. Większość ludzi to gawiedź, nic nie rozumiejąca i dająca się, wręcz nakłaniająca do tego, by nią manipulować.

Nocleg we wsi niemieckich Sasów. - Na miejsce Sasów, którzy gremialnie powyjeżdżali do Niemiec, wprowadzają się Cyganie, którymi gardzą nie tylko

3 Niemcy mówią „tuerken”, „getuerkt” – dyskryminując w ten sposób Turków, którzy od lat sześćdziesiątych wykonują u nich najgorsze prace, których Krzyżak nigdy by nie wykonał.

pozostający Sasi ale i sami Rumunii. Sasi koło kościoła zbudowali wiatę, w której wszyscy mieszkańcy wsi przez cały rok suszyli wędzonkę. Wioseczka mała, spokojna, każdy dom otoczony wysokim drewnianym płotem. Wszyscy się znają. Sielanka. Gdy we wsi pojawili się Cyganie, wędzonka zaczęła znikać. Bramy domostw pozamykano. Gdy skończył się reżim Ceaucescu i przyszła odwilż, młodzi Sasi wyjechali do Niemiec. W ich domach zamieszkali Cyganie. Starsza kobieta oprowadza mnie po wsi i kościółku. Wspomina po saksońsku stare dobre czasy, gdy msza w kościele była odprawiana po niemiecku, gdy w szopie pod kościołem suszyła się wędzonka i gdy każda brama prowadząca do domu była szeroko otwarta i wszyscy mieszkańcy odwiedzali się po mszy w porze obiadowej.

Nocleg w małej wiosce rumuńskiej: Pytam o Cyganów. Z odpowiedzi wynika, że są znieawidzoną i pogardzaną grupą społeczną.



Na transylwańskiej ścieżce spotkałem mniszka.

Delta Dunaju - tajemnicza, pełna ptactwa, ogromna. Kilka lat później byłem nad Mekongiem. Jakże inny klimat. Jakże podobna sceneria.

Karpaty rumuńskie. Spotkałem mniszka na górskiej ścieżce. Wesoły, uśmiechnięty, kilkakrotnie się spotykaliśmy na leśnej drodze. On nie mówił w żadnym zachodnim języku. Mi było wstyd, że przyjechałem do Rumunii i żadnego słowa w tym języku nie potrafiłem wydukać. Wymienialiśmy szczerze uśmiechy, pokazałem mu mapę i naszą wspólną marszrutę. Pokleпалиśmy się po ramieniu. Doświadczenie zawodowe uczy mnie, że w relacjach międzyludzkich najważniejszy jest uśmiech. Zastępuje on często słowa, buduje zaufanie. Nauczyłem się też, że w kontakcie z cudzoziemcem najważniejsza jest kompetencja językowa. Nic innego się nie liczy.

Duńczyk Hochsztapler

Spotkałem kiedyś Duńczyka. Nie miał żadnego zawodu. Miał żonę pracującą w ambasadzie duńskiej w Polsce. Erhard zatrudniony został jako kierownik departamentu w dużej niemieckiej kancelarii podatkowo-prawno-konsultingowej. Zawodowo był nikim, ale miał kilka walorów: perfekcyjnie mówił po niemiecku i angielsku. Niemcy z Hamburga dukali po angielsku, więc był dla nich jak znalazł. Do tego ubierał się bardzo elegancko. Zawsze świeża biała koszula, nienaganne spinki, okulary w złotych oprawkach i na złotym łańcuszku. Na deser manieri: znawca win, miłośnik owoców morza, bywalec warszawskich restauracji. Uwe, big boss, gdy przybywał do Warszawy, udawał się zawsze do Duńczyka. Ten relacjonował mu to, co działo się w biurze warszawskim poprawnym językiem niemieckim. Duńczyk manipulował faktami biznesowymi i towarzyskimi tak, jak mu pasowało. W efekcie doprowadził do tego, że z pracy zrezygnowali bardzo doświadczeni prawnicy, po korytarzach zaczęły się wążać długonogie głupie laski bez żadnego doświadczenia zawodowego. Ich jedynym atutem było to, że były mu spolegliwe. W parze z moim szefem Duńczyk w dziewięć miesięcy przehulał 8 milionów złotych. Dziewczęta wysyłane były na siłownię, na kursy językowe. Na częste, nikomu niepotrzebne zagraniczne podróże akwizycyjne. Śmiesznie było, gdy Niemcy zorientowali się, że firma jest deficytowa. Wtedy mój szef wraz z Duńczykiem wszczęli program naprawczy, polegający na tym, że nielicznym pracownikom, którzy rzeczywiście pracowali i którzy zarabiali ok. 5 tys. złotych poobcinano pensje do 3,5 tys. złotych. Natomiast pupilkowie Duńczyka i Zielasa, zarabiający od 20-30 tys. złotych i nie mający własnych klientów, ani zleceń, mieli się w dalszym ciągu dobrze. Duńczyka z tytułu przekrętów w poprzednich firmach ścigał komornik. W kancelarii nie zarabiał więc

ani grosza. Co tydzień wysyłał jednak swych asystentów do banku, by pobrali z konta firmy zaliczki dla zarządu na bieżące wydatki. Gdy Duńczyk w 2005 roku wyleciał z firmy, na jego koncie ciążyły nierozliczone zaliczki w wysokości ponad trzech milionów złotych. Rok później dostałem od niego maila z pozdrowieniami z Kosowa. Duńczyk znalazł nową krowę dojną: Przybudówkę ONZ. Erhard miał kumpla Jana. Pół Francuza, pół Australijczyka. Też zawsze elegancki, władał biegle czterema językami, pupilek Niemców. Przez trzy lata opracowywał jakiś program komputerowy, który miał przynieść kancelarii wielkie zyski. Przez trzy lata mieszkał na koszt kancelarii w pięknym apartamencie w centrum Warszawy, jeździł luksusowym samochodem, miał ogromne pobyry. Pewnego wtorkowego poranka zaprosił mnie na kawę, by pogadać o Prowansji, gdzie kiedyś żyłem przez rok. Następnego dnia wieczorem wszyscy pracownicy kancelarii otrzymali od niego maila seryjnego: „Pozdrawiam Was serdecznie z Nowej Zelandii. Podjąłem się nowych wyzwań zawodowych. Jan F”. Programu nikt nie skończył, samochód służbowy po czterech miesiącach znalazła policja gdzieś pod Warszawą. Jan ma się dobrze.

Wracając do kraju księcia Drakuli i jego ojca Palownika (nabijał całe wsie na zaostrome pale), zwróciły moją uwagę sale dyskotekowe w schroniskach górskich, monstrialne i tajemnicze zamczyska oraz mrożące krew w żyłach opowieści o życiu w Transylwanii w Średniowieczu.